Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 24. Lipca 1881 r. Tom XII.

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 30.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—10 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . . kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

OPERACJA FINANSOWA NA ŻYDACH.

OBRAZEK ZE WSPOMNIEŃ PRZESZŁOŚCI

skreślił

M. STARCZAK.

(Dokończenie).

Od chwili wyjścia straży, przeznaczonej do bożnic i domów modlitwy, w karczmie naszej powstał ruch, bieganina, szepty, szmer w końcu, i to się wzmagało, rosło, obejmowało z kolei ulice, rynek — żydowskie świętości były zagrożone, spada jakieś wielkie nieszczęście. Przerażenie objęło cały żydowski świat; przypuszczam, że tego wieczora jeszcze konni rozlecieli się na wszystkie strony, ostrzegając przed plagą lud izraelski.

Ruch ten niezwykły domyślać się pozwalał, że ostrzeżenia z Łużek nie było, a więc i ów łużecki żyd, który z Zaborza pocztą do Głębokiego odjechał, w innym zapewne interesie został posłany.

Tumult w mieście co raz większy powstawał i żydzi ze wszystkich stron zbiegali się do naszego zajazdu, zapewne dla powzięcia bliższych szczegółów o zagrożeniu najściem ich świątnic.

I to się nazywa »kraj na *wulkanie!*« Parę tysięcy ludzi przejętych trwogą, przerażonych i złorzeczących, nikt jednak nie wdziera się, nie wysadza okien, nie wyłamuje drzwi do naszego lokalu. A tu przecież ta władza, co zarządziła najście i rozbudziła w miasteczku trwogę!

Tak w polskich, *buntem* podszytych krajach są wykonywane ukazy rosyjskie, przez urzędników rosyjskich. Kieszeń celem, ukazy środkiem — wiecznie tak było i jest. Sto lat takich porządków... a końca nie ma!

Więc kto tu jest »*buntownikiem?*»... Naród, czy władze?

Mimo znużenia sen odbiegł, a w sercu się żarzyło, nerwy się trzęsły, głowa pękała. Byłbym szczęśliwy, pragnąłem, żeby do naszych drzwi z światłem, ogniami wpadło stu żydów uzbrojonych w topory i w kawałki nas obu pocięli.

I mnie?... Za co?

Ten wieczór, ta noc uczyły mię, przekonywały, że nie tylko ten winien, kto dzikie bezprawia robi, zarządza, ale i ten, kto się o zbrodniarza ociera i w jednej linji z nim na dosłudze rządowej szuka awansu i karjery.

Jemu wolno i wszystko wolno, nawet robić bezprawia, bo to obcy, przybłęda; mnie, nam — nie wolno!... bo to kraj nasz.

Nasz... i takie upodlenie przechodzi... znosi!

Przeklęta dola, która nam każe, pchanas, zniewala do szukania kawałka chleba w służbie rządowej. A jednak... inaczej być nie może!

Byłem zły, rozżarty, na siebie na ludzi, swoich i obcych — na żydów głównie.

Kiedy nazajutrz wyszedłem do wjazdu, bezsennością zmęczony, rozgorączkowany, pierwszy mi wpadł w oczy gospodarz domu. Rzucił się do mnie i ręce złożył.

— Panie!... Co my winni, co znaczy ta przy bożnicach straż? Niech nas pan broni... pan nasz.

— Tak, wasz... lecz wy nie moi. Kto sam siebie i swego dobra, swoich świętości bronić nie umie, z tym nic wspólnego ja nie mam. Wy tylko pełzać, czołgać się... i prosić umiecie.

Zbiegła się kupa w zajeździe i mnie obległa w około. Nie mogłem im tego darować, że tylko kłaniają się, składają ręce — są żebrakami.

— Precz!

Wszedłem z powrotem do izby i padłem na łóżko.

— Szto wam? — zapytał sprawnik.

— Nic, głowa boli, pęka... a w piersiach szarpie. Do niczego nie jestem zdolny i pewno do rewizji służyć panu nie będę w stanie.

— Poślij pan po doktora.

— Doktora nie chcę... może to samo przejdzie.

Sprawnik wstał i począł się ubierać.

Od wjazdu — wolno, ostrożnie uchyliły się drzwi. Podniosłem głowę: w drzwiach spostrzegłem brodę, pejsy, potem nogę na progu, tułów zgarbiony... cały nareszcie wsunął się żyd. Tak oni tylko wchodzić umieją, gdy ich strapienie dotknie. Potem, kiedy to minie... podnoszą się i biorą górę nad nami i sprawnikami... za ruble. Wchodzącym był jeden z kahalnych, blady jak chusta, zalękniony, kłaniający się, znękany. Znałem go dobrze, lat miał około czterdziestu, zawsze rzeźwy, wesoły i trochę dumny. Taka zmiana! Jakąż też to pokrakę, pomyślałem sobie, nieszczęście może zrobić z człowieka! Należał do najsprytniejszych żydów w miasteczku, miał dar słowa i zręcznie tego daru używał. A teraz? Opuściłem na poduszkę głowę i udawałem, że go nie widzę.

— Co chcesz? — zapytał sprawnik.

— Ja tu od kahału do jw. pana przychodzę. Jestem radny kahalny.

Pomyślałem, że może zaraz ubić interes i rewizja ksiąg odbędzie się dla ceremonji tylko. Nie chciałem przeszkadzać, niech mają zupełną swobodę do rozmówienia się i przybicia układu. Wstałem, wziąłem na siebie futro i do wjazdu wyszedłem. Tu mię znowu kupa żydów obległa, a paru podedrzwiami stało, chcąc naturalnie zarwać coś z rozmowy w środku. Nie przeszkadzałem im, lecz powiedziałem,

że w najściu bóżnic żadnego udziału nie mam i w interes ten nie wdam się wcale.

— Uwolnijcie mnie od pośrednictwa i wierzcie, że to mię obchodzi tak samo, jak żeby nasz kościół został oskoczony strażami. Ukaz jest... zabrania mieć księgi nie poświadczone pieczęcią cenzury — macie go zresztą w kahale, więc wiecie o nim. Co do starania za wami, uwolnijcie mię od tego.

— O słóweczko, o jedno słowo proszę — przemówił pisarz kahału.—A jak pieczęci nie ma... to co?

— Zabierze.

— Jakto, wszystko zabierze? Będzie za wiele, bo to się zbierało wiekami. Fur... no, z dziesięć fur będzie potrzeba, a jak z całego powiatu, to najmniej trzydzieści. Czy to można, żeby książki żydowskie i na tylu furmankach wieźć najpierw do Dzisny, potem do Wilna... poczta listów ani pasażerów przez jakie dwa tygodnie nie mogłaby wozić... tylko te księgi.

— Powiadam wam — zabierze. Tu zresztą nie o to idzie.

Kupa poruszyła się i poczęli wszyscy tłoczyć się do mnie.

— A o co?... o co?

Dajcie mnie pokój. Więcej ani słóweczka... od czegoż żydowski spryt.

Kahalny nie wychodził z pokoju. Prosiłem gospodarza, żeby zaraz kazał nastawić samowar, sam zaś wyszedłem w rynek. Chciałem się przejść trochę, przywietrzyć, bo cała noc zeszła mi na medytacjach, w gorączce i nie byłem wstanie oka zmrużyć na chwilę. Na rynku i w przyległych ulicach żydzi radzili, zebrani w kupki. Spojrzałem w ulicę, prowadzącą przez środek miasta i prostą... wszędzie żydowstwa pełno.

Powróciłem może w półgodziny. Żydzi jeszcze się kręcili we wjeździe i szwargotali — w naszym pokoju kahalnego już nie zastałem. Musiałem być zmieniony i wyglądać dziwnie i dziko, tak mię ta historja wstrzęsła całego. Byłem przecież przygotowany, wiedziałem, a jednak nie mogłem przypuszczać, że wrażenie żydowskiego nieszczęścia tak mię z nóg zbije. Sprawnik spojrzał na mnie, dostrzegłem na ustach jego uśmiech przelotny, ale w mgnieniu oka spoważniał i stał wpatrzony we mnie.

— Panu rzeczywiście nie dobrze być musi, idź pan do doktora. Futro, wczoraj dzień ciepły, wiatr zawiał... A i przeziębienie.

— Nie pójdę w tej chwili... napiję się herbaty.

Dowiedziałem się przy herbacie, że z kahalnym do układu nie przyszło, że... mało dają. Nie wchodziłem już w resztę.

— Naturalnie — powiedział sprawnik — pan ze mną na rewizję nie pójdziesz, nie możesz iść... dajże mi ukaz, bo czas.

Wyszedł. Ja zostałem i byłem ucieszony, że czynnego w tem wszystkiem nie biorę udziału. Tylu w powiecie krewnych, wszyscy znajomi — nie śmiałbym nikomu pokazać oczu, — ojciec zresztą kazałby mi najniezawodniej zaraz porzucić służbę rządową. I gdzie się podziać, co robić? Szabelka mi od kolebki brzęczała w uchu, ale... do wojska rosyjskiego?... Nie! Mógłbym być w szeregu dobrym rekrutem, sołdatem, niewolnikiem... ale szlachtę od tego przymusu wtedy zwalniało prawo, zaś z wolnej woli włazić w mundur rosyjski, do tego wstręt miałem. Po za temi dwiema karjerami nic więcej w widoku dla szlacheckiej młodzieży nie było.

Poszedłem do klasztoru ks. Karmelitów, gdzie się mieściła apteka. Aptekarzem był wtedy p. Błeszyński — Warszawiak. W rynku przedkościelnym, który był rezerwowym niejako, bo rynek główny handlowy, w środku miasta jest położony — tu nie widziałem już ani jednego żyda, cały tłum za sprawnikiem przed bożnicę musiał pociągnąć. Na twarzach chrześcijańskiej ludności nie widziałem żadnego wrażenia. Ona swoich przejść tyle miała i ma, tak świeżo odbyło się nawrócenie pod przymusem kija unitów, tyle kościołów katolickich na cerkwie pozabierano, dwie szkoły wyższe, w Berezweczu ks. Bazylianów, a w Łużkach Piarską zamknięto, w Głębokiem kazano zwinąć szkółkę przygotowawczą, a dalej ucisk władz dotyka każdego z osobna... tyle tego i codzień spada na chrześcijańską ludność, więc było do wytłómaczenia, że twarze jej są obojętne i wypadku tego ludzie nie biorą żywiej do serca.

Zastałem kilku ks. Karmelitów u aptekarza.

— Co to za awantury robicie znowu — zapytał przeor. Ledwie z Unitami w Leonpolu skończono, a oto nowe najście na żydowskie bożnice. Czy i ich chcą na prawosławnych w końcu przerobić? Powiedz, co mają do ksiąg żydowskich?

Opowiedziałem im jak jest z ukazem. Reszty domyślili się sami.

— Bajki! — powiedział Błeszyński. — Nic groźnego, bo żydzi pieniądze mają... za godzinę wszystko się skończy.

— I zaraz pewno — wtrącił przeor — dziś jeszcze pojedziecie dalej... do Postaw, Szarkowszczyzny, Drui... wszak tak?

— Przypuszczam, że już nie będzie po co. Domyślam się, że żydzi na wszystkie strony ostrzeżenie posłali.

— A naturalnie. Jak jednych nieszczęście dotyka, inni wiedzą natychmiast o tem. U nich tak!... Szkoda, że my ich naśladować nie chcemy.

Rewizja przeciągnęła się do szóstej wieczorem. Ile kahalny dawał — nie wiem, ale nic wyżej postąpić nie chciano. Sprawnik był zmuszony zażądać od assesora furmanek i naładować książkami aż dziewięć fur. Gwar był wielki, biegano, radzono... fury tymczasem stały. Sprawnik mocno tem był zmięszany, bo wypadało teraz wszystko to zabrać i wieźć do Dzisny, kiedy tu szło zupełnie o co innego. Straże już od bożnic odeszły... gdy naraz zażądał sprawnik od assesora tylu co wczoraj ludzi i na nowo obstawił bożnice. Wszedł do głównej synagogi z rabinem i kahalnymi.

— Gdzie tu rodały?

Rabin zatrząsł się, zbladł.

— Co za rodały?

— No, dziesięcioro przykazań.

Rabin pokazał mu zwitek, lecz nie wypuszczał z rąk. Sprawnik zwitek mu wyrwał, obejrzał... pieczęci nie ma. Oddał do trzymania posłudze.

Przed synagogą i w synagodze ścisk się powiększył, hałas, wrzawa w żydowskim tłumie.

Tym pomysłem sprawnik dobił stanowczo targu.

Wrócił do zajazdu, a w godzinę potem ze wszystkich fur księgi z powrotem żydzi do bóżnic wnosić zaczęli. Sprawnik ręce zacierał, był zadowolony zupełnie. Od pisarza kahału dowiedziałem się potem że interes przybito za 1200 rubli, z których 200 dla assesora, resztę zaś pan Brańcow raczył schować do swej kieszeni.

Nie równe stopnie więc i podział nie równy.

Dalej nie mieliśmy już po co jechać. Brańcow sam był pewny, że posłańcy do innych miasteczek wyprawieni zostali.

Do Szczygielskiego wyprawiliśmy polecenie, aby natychmiast dom p. Kamińskiego opuści i zajął wyznaczoną sobie kwaterę w Łużkach. Nadmieniliśmy dla wiadomości jego i o tem, że gubernatorowi także w kwestji tej raport posłano.

KONIEC.

ZAGADNIENIA BOTANICZNE

przez

PROF. WŁAD. BOBERSKIEGO.

Nie jednej umiejętności zawiązek gdzieś w odległych poczyna się wiekach i ledwo słabe promyki zdradzają jej zaczątek. Lecz z biegiem czasów coraz to nowi szermierze wychodzą z łona wielkiej narodów rodziny, a idąc przebojem wśród wiekowych mroków, rozniecają coraz żywsze światło prawdy i budują węgły pod wznoszący się gmach umiejętności. Podobnie rzecz się ma z botaniką. Kobierzec roślinny okrywający ziemię od skwarnego równika do mroźnej północy, musiał już wcześnie oddziaływać na młodociany umysł człowieka. Człowiek śledził najpierw za użyteczną mu rośliną, a nadto starał się poznać tę, co życiu lub zdrowiu szkodziła. Będąc w niemocy, szukał siły uzdrawiającej w świecie roślinnym, a kiedy gniew, zawiść lub zemsta szarpały mu serce, błąkał się samotny po lasach i górach śledząc za jadem rośliny. Częstokroć czary były mu bodźcem do botanicznych wycieczek. Medea, najpierwsza czarownica, o której historja wspomina, biega, miłością ku Jazonowi pałająca, po górach Kolchidy i szuka ziółek w tajemne siły bogatych.

Ale nie sądźmy, by wspomniane objawy zajęcia się światem roślinnym były botaniką umiejętną — że zaś jej torowały drogę, nie ulega wątpliwości. Jak wszystkie wzniosłe poloty ducha w starych poczęte Atenach, tak też Grecja była kolebką pierwszego zawiązku botaniki umiejętnej. Potężny duch Arystotelesa poruszył niemal wszystkie zagadnienia logiczne, etyczne, estetyczne, polityczne, kosmiczne i metafizyczne i zgłębił je z taką jasnością poglądów

i głębokością myśli, jak żaden przed nim, a nie wielu jego następców. Geniusz ten starożytności niestrudzony w dociekaniu prawdy, poświęcił też długie lata badaniu przyrody. Fizjologja i anatomja ciała zwierzęcego zajaśniały w całej pełni i stanowiły dzielną podwalinę zoologji umiejętnej. Niemniej też botanika wiele mu zawdzięcza. Arystoteles uważa rośliny jako twory żyjące i rozwija z właściwą przenikliwością ducha porównanie ogólnych zjawisk życiowych świata roślinnego i zwierzęcego. Ale te główne zarysy Arystotelesa wykończa dopiero jego uczeń Teofrastos i toruje w dwu księgach drogę fizjologji roślin. On bowiem nietylko zebrał wielką ilość własnych spostrzeżeń tyczących się tak roślin ojczystych jak obcych, nietylko go zajmowały rośliny korzyść niosące współziomkom, lecz nie pominął on najlichszego tworu roślinnego, który się tylko do rozwiązania ogólnych nadawał zagadnień, będących ostatecznym celem jego badań. Czem się różnią zwierzęta od roślin? Jakie są narządy rośliny i z jakich ona zbudowana cząstek? Jakie zadanie korzonków, łodygi, liści, kwiatu i owocu? Jakiego wieku dosięgają rośliny — co jest przyczyną ich chorób — i jaki jest sposób ich leczenia? Jaki wpływ na wzrost roślin wywierają gorąco lub zimno, posucha lub wilgotność, uprawa lub zaniedbanie takowej? Czy może roślina sama z siebie powstać, czyli jeden gatunek roślin w drugi się przedzierzga? Czem się różnią rośliny z ziarnka wypielęgnowane od tych, które otrzymano z sadzonek? Oto są zagadnienia, które sobie stawiał ojciec botaniki. Czyliż nie są to te same, które do dziś dnia zaprzątują głowy uczonych? Zaiste, powiada Göthe, ze zdumieniem spoglądać musimy na ten dar dostrzegawczy Greków — jeden tylko błąd zaznaczył śmiałe ich kroki, błąd zbytniej skwapliwości. Niezważając bowiem na przebieg zjawiska już się kuszą o jego wytłómaczenie, w skutek czego częstokroć niedostateczne i za śmiałe wysnuwają wnioski.

Lecz któryż z 2000 uczniów, karmionych nauką Teofrasta, mógł przewidzieć, iż 20 wieków nad światem przepłynie, nim na świeżo wzniesionej przez ich mistrza podwalinie, dalszy gmach umiejętności przyrodniczych się dźwignie?

Za nadto szybko bujnym orła lotem wzbił się duch ludzkości wieku Aleksandra Wielkiego, i znikł na długo w obłokach ciemności wieków następnych. Rzymianie, zwycięzcy i uczniowie Greków, wielcy wielbiciele rolnictwa, gonili wprawdzie za każdą nową rośliną wzbogacającą ich ogrody i pola, a lekarze greccy, wysługujący się rzymskim magnatom, niestrudzenie pomnażali zastęp roślin leczniczych, lecz znikła owa idealna dążność, szukająca w niemym świecie roślin, objawów życiowych, łączących twory ustrojowe w jedno harmonijne ogniwo. Raz jeszcze usiłował Pliniusz objąć cały ogrom wiadomości przyrodniczych swego wieku, jakby chciał walczyć z Teofrastem o palmę pierwszeństwa. Lecz jak daleki odstęp między genialnym Grekiem a wytrwałym Rzymianinem. Ów płodny w głębokie pomysły, krytycznie wszystko rozbierający, ten wyposażony olbrzymią pilnością, zbiera wszystkie bogactwa przez innych odkryte, lecz garnie w czambuł także błahe szychy bez krytycznej rozwagi i bez zdrowego sądu. Dzieło jego to istny magazyn, gdzie obok cennych pereł wiedzy, mnóstwo rupiecia, baśni i zabobonów znajdziesz.

Po tej ostatniej niefortunnej próbie Pliniusza tępiały coraz bardziej zmysły, martwiała z każdym dniem chęć badania żyjącej przyrody, a wreszcie zamarł wszelki śmielszy polot duchowy, by dopiero po tysiącletnim śnie letargicznym na nowo się odrodzić. Zajaśniał czternasty wiek nad piękną ziemią włoską, a z nim zabłysły wspaniałe gwiazdy jak: Dante, Petrarka i Boccaccio, i tchnęły nowe w Europę życie. Budzą się sztuki piękne i umiejętności we włoskiej krainie, a starzy klasycy strząsają pył wiekowej obojętności.

Na rozkaz papieża tłumaczy Greczyn Teofrasta na język łaciński, lekarz Dioskorides i Pliniusz po długiem zapomnieniu znowu się zbudzonemu ukazują światu, a tymczasem wynaleziona sztuka drukarska mało dotąd znane nauki szczodrze rozsyła zgłodniałym duchom narodów.

Lecz wkrótce poznają uczeni, że do zrozumienia nauk przyrodniczych nie wystarcza znajomość języków klasycznych i przeżuwanie tego, co starożytni koryfeusze nagromadzili, okazuje się potrzeba poznania tworów przyrody w żywej przyrodzie. Z młodzieńczym zapałem rzucili się humaniści włoscy na kobierzec roślinny w celu odszukania i przypatrzenia się roślinom, które starożytni pisarze w swych księgach opisali. Ten zapał włoskich zbieraczy szesnastego wieku, na drugą stronę Alp się przerzuca i znajduje chętnych pracowników w Niemczech i Niderlandach. Niderlandczyk Karol Kluzjusz podróżuje po świecie i powiększa znacznie zastęp znanych dotychczas roślin. Lecz mimo mrówczej pracy owoce tych wieków były nieszczególne. Całe zajęcie się botaniką i w ogóle naukami przyrodniczemi służyło tylko niewolniczo filologji a w części i medycynie. Poznać i zebrać rośliny Teofrasta, Dioskoryda i Pliniusza, szperać za ukrytą w nich siłą leczniczą lub odkryć zawarte w nich jady, to cel poniesionych trudów.

Wynalezienie drobnowidzów zwraca uwagę uczonych w inną stronę. Sławny włoski lekarz i przyrodnik Marcello Alphigi wydaje w roku 1675 wielkiej doniosłości dzieło „Anatome plantarum.“ W tym samym kierunku pracuje Anglik Nehemiasz Grew i tworzy podstawę histiologji i fizjologji roślin. Lecz jak wszystkie wielkie odkrycia i wynalazki współcześni mimo oczu puszczają, tak stało się też z nowo wytkniętym torem umiejętności botanicznej. Botanika opisowa na wzór Pliniusza zawsze znajdowała chętniejszych autorów i czytelników, i łatwiej było na tem polu zebrać wawrzyny.

Oddawano się nadto tej błogiej iluzji, iż rośliny Grecji i Azji mniejszej, które starożytni autorowie w swych opisywali dziełach, znajdą się wszędzie w Europie. Lecz dokładniejsze zbadanie krajów rodzinnych okazało nicość tego przypuszczenia tembardziej, iż liczni podróżnicy z każdym dniem nowe do Europy zwozili rośliny, a świeże powstające ogrody botaniczne, współzawodniczące ilością i doborem hodowanych roślin, wykazywały dobitnie, że zbyt rozmaicie utkała przyroda kobierzec okrywający nagie ciało matki ziemi, — że o wiele więcej znajduje się roślin, niżeli ich w dziełach starożytnych mistrzów spisanych znajdowano. Rzucono się z całym zapałem do szukania roślin nowych i nagromadzono ich taką ilość, że ni to najszczęśliwsza pamięć objąć je mogła, ni to nazwy dawniejsze do oznaczenia nowych okazów były dostateczne.

Kuto więc nazwy, a każdy autor według swego widzimisię, w tem jednak postąpiono, iż zręczni drzeworytnicy niemieccy, dopomagali wiernemi rycinami do dokładnego przedstawienia poznanych roślin. Takie sianobranie, taki zamęt nazw i pojęć nie mógł trwać długo. Uczeni ówcześni chyba tylko na własnem dziele czytać umieli, ztąd więc okazała się konieczna potrzeba zaprowadzenia jakiegoś ładu, by się w tym pięknym świecie roślin łatwiej zorjentować można. Już Cesalpinus (1603) myślał o uporządkowaniu poznanych roślin, przyjmując jako podstawę swego podziału różnicę owocu, ułożenie okryw kwiatowych względem słupka, i nadto rozdział roślin, na drzewiaste i zielne. Przykład ten nie przebrzmiał bez skutku. Mężowie tacy jak Camerarius, Tabernaemontanus i Alpinus torują dalej drogę botanice w tym kierunku — a obadwaj bracia, Jan i Kasper Bauhinowie, starają się zaradzić tej różnorodności nazw, jakie z uszczerbkiem dokładności, jednej i tej samej roślinie ponadawano. Pierwsze jednak lody na polu systematyki umiejętnej przełamał niezaprzeczenie Francuz Józef Turnefort. Zebrał on i podzielił poznane dotąd rośliny na dokładnie określone rodzaje i gromady, zestawiwszy cały ten układ roślin w dziele „Institutiones rei herbariae 1700. Dzieli on rośliny na drzewa i zioła, tworząc potem 22. gromady według istnienia lub braku korony kwiatowej, odróżnia następnie rośliny o zrosłopłatkowej koronie od tych, które rozdzielno-płatkową posiadają; dalej zwraca uwagę na rośliny, o ile takowe umiarową bądź nieumiarową odznaczają się koroną. Rośliny skrytokwiatowe zalicza Turnefort do gromady bezkoronowych. Ten zmyślny układ Turneforta długo, bo pod koniec 18ego stulecia, używał pełnego obywatelstwa we Francji. Wiele jednak braków spoczywa w całym układzie Turneforta. Podział na drzewa i zioła nieodpowiedni, tu i owdzie czuć brak logicznego związku w układzie — pojęcie bowiem gatunku podówczas jeszcze zbyt chwiejne, nie pozwoliło mu wszędzie być konsekwentnym. Łączył on w jedną grupę najbardziej obce rośliny, a rozdzielał bliskie krewniaki. To pierwsze wielkie zagadnienie rozwiązał dopiero Karol Lineusz, wydając swe dzieło „Philosophia botanica“ w r. 1751. Jak jasny meteor zajaśniał mąż ten wśród ciemni zalegającej królestwo przyrody. Z nieprześcignioną bystrością wytycza drogę badania przyrody, dyktuje prawa, które tak długo nie stracą swej wagi, jak długo w ogóle systematyka roślin, zwierząt i minerałów istnieć będzie. Jego system płciowy zaprowadza ład w całym dotychczas poznanym ogromie świata roślinnego — zmienia botanikę w uporządkowaną, wspaniałą umiejętność. Układ Lineusza zasadza się na płciowości roślin. Rośliny o wydatnych organach płciowych (r. jawnokwiatowe) podzielił Lineusz według liczby pręcików, ich długości, łączności wzajemnej lub z innemi częściami kwiatu, według ich znajdowania się wraz ze słupkiem w jednym kwiecie, lub ich rozdzielania na 23 gromad, podczas gdy 24tą gromadę stanowią rośliny nie posiadające żadnych lub wyraźnych narządów płciowych (skrytokwiatowe). Każda gromada rozpada się na rzędy w rozmaity sposób powstające. Jak w pierwszych 13tu gromadach stosował się Lineusz do liczby słupków lub ich szyjek, w 14. i 15. według jakości owo-

cu, w innych zaś stosownie do rozłożenia części płciowych. Lineusz nadto był pierwszym, który ustalił zbyt chwiejną nomenklaturę, nadając roślinie dwa nazwiska — używając rzeczownika do oznaczenia rodzaju, przymiotnik zaś określa gatunek rośliny.

Lecz i układ Lineusza nie był bez usterków. Osnuty na zmiennych nieco cechach roślin zanadto był sztucznym, choć ostatecznie układ ten był i jest wygodnym, gdy chodzi o wynalezienie nazwiska rośliny i jej umieszczenia w układzie. Czuł tę niedokładność układu już sam Lineusz, bardziej niż współcześni mu botanicy, którzy mając system wielkiego reformatora w ręku, całe zadanie botaniki na oznaczaniu i opisywaniu roślin zasadzali. Lineusz sam wyrzekł iż uważa układ osnuty na zasadzie pokrewieństwa roślin za ostateczne najwyższe zagadnienie botaniki. Na szczęście, nie długo czekano. W przepysznym parku Marji Antoniny wzbudzał podziwienie ogród botaniczny, w którym wiele roślin według ich pokrewieństwa uporządkowano. Siostrzeniec ogrodnika, Antoni Wawrzyniec Jussieu, człowiek wielkich zdolności i mnogiej nauki, zbudował pierwszy układ roślin wzniesiony na przyrodzonych podstawach i rozwiązał tem samem w dziele „Genera plantarum secundum ordines naturales disposita“ r. 1788 drugie zagadnienie botaniki umiejętnej.

W układzie tym przyrodzonym opartym na zasadzie istotnego pokrewieństwa (tj. stosownie do mniejszego lub większego podobieństwa całej organizacji roślin), sprowadził Jussieu systematykę botaniczną na właściwe tory, roztaczając w ten sposób obraz świata roślinnego w jego stopniowym rozwoju. A jakkolwiek Adanson (Familles naturelles des plantes 1759) jakoteż Lineusz zwrócili swą uwagę na naturalne grupy roślinne, to przecież dopiero Jussieu rozwinął cały układ przyrodzony, zamykając cały w onczas znany świat roślinny w stu dokładniej ograniczonych rodzinach (Familiae). Cechy tych rodzin rozróżnia Jussieu na pierwszorzędne, drugorzędne itd. i wysnuwa zasady do utworzenia tak rodzin samych, jakoteż z nich złożonych wyższych działów. Główne zasady Jussieu'go są iście znakomite i utrzymały się po dzień dzisiejszy bez zmiany, i tak dzieli Jussieu cały świat roślinny na:

Bezliścienne r., jednoliścienne r., dwuliścienne r.

Rośliny dwuliścienne znowu na: Bezkoronowe, zrosłopłatkowe, rozdzielnopłatkowe.

Podział ten spotykamy w dziełach wielu dzisiejszych autorów przeprowadzony, spotykamy nadto wiele z tych 100 rodzin, na jakie się powyżej wspomniane działy rozpadają, z tą tylko różnicą, że w skutek nowych odkryć w świecie roślinnym liczba ich znacznie wzrosła (u De Candella na 200 u Endlichera na 275). Rodziny te zbiera Jussieu w 15. gromad, które jednak na sztucznej i dowolnie przyjętej polegają zasadzie i dlatego też w dzisiejszej systematyce nie mogą znaleźć pomieszczenia.

Systematyka, a z nią w parze fitografia, zajęły teraz umysły uczonych różnych narodów. Sprengel, Schkuhr, Wahlenberg, La Mark, Desfontaines, August Pyram de Candolle, St. Endlicher i inni stanęli jako niestrudzeni szermierze na polu nauki niezbyt jeszcze utartem. A jakkolwiek nie zbliżyliśmy się jeszcze do ideału ze wszech miar zadowalającego układu przyrodzonego, to przecież jako ogólnie przyjęty podać możemy następujący, jaki po wielu znakomitych dziełach dzisiejszych czasów spotkać możemy.

Grupy świata roślinnego:

I. Skrytokwiatowe rośliny:
a) r. plechowe,
b) mchy,
c) r. skrytokwiatowe naczyniowe.

II Jawnokwiatowe:
1) nagonasienne,
2) skrytonasienne,
a) jednoliścienne,
b) dwuliścienne.

(Dokończenie nastąpi).

Z LAT MŁODOCIANYCH.

Krzyż mój za ciężki na Twoje ramiona,
Za ostre dla Cię mego wieńca ciernie...
O, bądź mi tylko jak siostra rodzona,
Moja jedyna, ukochana wiernie!

Darz mię współczuciem, wspieraj mię modłami,
Lecz nie kładź szczęścia Twego w mojej doli,
Bo życie jednym bolem Cię przeboli,
Przepłynie całe gorącemi łzami!...

Ty siostrą moją!... o zuchwałe chęci!
Chociaż my w duszy niewinni i święci,
Świat nam za czyste serc naszych braterstwo
Rzuci na głowę potwarz i szyderstwo!

Nie bądź mi siostrą! tak nam szczęścia nie ma!
Zostań mi raczej, jak owa zbawczyni,
Palma zielona, co w skwarnej pustyni
Śmierci wydziera biednego pielgrzyma.

Jak on z modliwą i łzami rzewnemi
Przyklęka u stóp zbawiennego drzewa;
Tak mnie w tej smutnej pielgrzymce po ziemi,
Gdy w srogim znoju duch biedny omdlewa,

Niech wolno będzie myśli rozmodlone
Zwrócić ku Tobie, i w Twojem wspomnieniu
Znaleść dla serca ochłodę, ochronę,
Odżyć, jak pielgrzym w błogim palmy cieniu.

I bądź mi jeszcze mą gwiazdą polarną,
Czystą i jasną śród niebios przezroczy;
Niech blask Twój cudny mą duszę otoczy,
Niech rozpromieni tę moję noc czarną!

Oczom daleka, a sercu tak bliska,
Pośród burzliwej mych losów powodzi,
Świeć mi otuchą przez mroczne chmurzyska,
Bądź przewodniczką kruchej mojej łodzi.

I bądź mi wreszcie mą świętą w niebiosach,
Niepokalaną, od zmysłów daleką,
Lecz nieodstępną w dobrych i złych losach,
Okryj mą duszę zbawienną opieką.

Bądź dla mnie źródłem wieszczego natchnienia,
Źródłem nadziei, miłości i wiary;
W imię Twe wznosząc mój kielich ofiary,
Z rąk Twych niech wezmę koronę zbawienia.

Adam Pług.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Zaczyna być pusto we Lwowie. Falanga młodzieży szkolnej opuściła w tym tygodniu miasto udając się do domów na wakacje. Wózki, bryczki, koleje żelazne rozwiozły tę ochoczą młodzież w różne strony kraju, a pozostała miejscowa resztka używa lata bujając po okolicznych wzgórzach, gdzie łowi siatkami motyle i puszcza z energją papierowe latawce. Gdyby to tak nam starszym choć co parę lat urządził kto podobne wakacje! Możebyśmy wtedy inaczej trochę popatrzyli na ten świat piękny i życie, które czem człowiek starszy, tem więcej przygniata jego umysł. Niemcy pod tym względem mają szczęśliwszy zwyczaj czy charakter, że jak się oddają zabawie, — to jak dzieci, całą duszą i sercem, zapominając o wszelkich troskach i kłopotach codziennych. Nieraz podczas wycieczek synów i córek Germanii zdarzało nam się widzieć brzuchatych obywateli tarzających się po trawie jak małe dzieci. Pustot, śmiechów i wesołości jest tam tyle, że ktoby nie znał tych ludzi przy ciężkiej sumiennej pracy w domu, w biurze, przy warstacie lub zapylonych bibljotekach, myślałby, że to są warjaci, gdy przeciwnie są to poważni ludzie którzy się bawią.. U nas jakoś to inaczej się składa, bo ledwie młody chłopiec ukończy nauki, już udaje sensata wiecznie czemś zafrasowanego, zgryzionego, niezadowolnionego. Wprawdzie nie używamy wiele rozkoszy w naszem życiu publicznem i prywatnem, lecz właśnie dla tego więcej od innych narodowości potrzebujemy odświeżenia i zapomnienia choćby na chwilę o teraźniejszości. Umysł, podobnie jak ciało, potrzebuje wypoczynku i zmiany kierunku w natężeniu.

Dawnemi czasy, zdaje się że i u nas inaczej się bawiono — czego dowodem liczne opowiadania o figlach szlacheckich, zaprawionych humorem i dowcipem. Powiadają, że nasi ojcowie mieli za co się bawić, a my nie mamy, lecz właśnie w tem leży sztuka, żeby się bawić bez pieniędzy; dobry humor i pogoda umysłowa nie zawsze zawisłe są od zamożności i niekoniecznie idą z sobą w parze.

Przyczyną braku u nas humoru i w życiu domowem i w literaturze dzisiejszej, jest poprostu żądanie wygód, którym aby zadosyć uczynić, ciągle musimy wytężać umysł nad wynalezieniem środków do ich zaspokojenia. Gonitwa za groszem, zajęła miejsce wszystkich przyjemności życia, a gdy się zejdzie kilka osób razem niby to dla zabawy, nudzą się, pozując na wielkości. Zamiast humoru, wyrodził się cynizm i szyderstwo, zapożyczone od Hejnego lub z francuskich romansów. Nie umiemy być sobą, pomimo że tyle prawimy o naszej odrębności narodowej, a właśnie obyczaje i zwyczaje narodowe, stanowią najpoważniejszą charakterystykę odrębności... My chcemy być wszystkiem, byle nie oryginalnymi...

Oto są myśli i wrażenia jakie nam się nasunęły patrząc na dobry humor i wesołe oblicza młodzieży jadącej na wakacje. Okoliczność ta, a mianowicie brak publicznego humoru, tłumaczy jasno upodobanie do operetek i wesołych fars, przedstawianych w teatrze. Każdy z nas, napotykając na każdym kroku pełno kwasów i nieprzyjemości życia, właśnie po to idzie do teatru, aby się ubawiać i uśmiać, to

jest, znaleźć to, czego mu w domu i w sztywno zniechęconem towarzystwie nie dostaje. Jeżeli pan Bóg obdarzył człowieka własnością śmiechu, musi on tę własność zużytkować. Takie słyszeliśmy nie raz zdania ludzi zkąd inąd poważnych, których o lekkomyślne traktowanie teatru posądzać nie można. Powiadają oni, że minęły czasy, w których teatr był szkołą; dzisiejsi pozytywni prostaczkowie więcej mają rozumu niż dawni nauczyciele, a w teatrze chcą odświeżenia, zabawy a nie płaczliwych afektacji, w których bohaterowie uczucia zabijają się z rozpaczy... Dawniej kiedy człowiek się w domu naśmiał, szedł do teatru trochę popłakać, boć i łzami Pan Bóg obdarzył człowieka, ale dziś szukamy w teatrze tego, czego nie mamy w domu.

O ile jest prawdy w tych słowach, nie chcemy przesądzać, lecz z doświadczenia widzimy, że teatr wtedy pełny, gdy coś wesołego grają. Gust publiczności zniewolił p. Miłaszewskiego do zmiany frontu, a pomysł urządzenia letniego teatru jest bardzo na czasie, bo wygodny, przewiewny, ceny zniżone, co bardzo zachęca do używania tej jedynej przyjemności letniej. Nie liczymy się do kategorji bezwzględnych adoratorów nowej dyrekcji, jednak musimy przyznać, że egzekucja sztuk jest wzorową, a w grze artystów znać wielką staranność i dokładne wyuczenie ról, przez co zyskuje się swoboda na scenie, a słabsze nawet rzeczy wychodzą nieźle.

W przyszłym tygodniu, biόra Wydziału krajowego już przenoszą się ostatecznie do nowego gmachu, którego poświęcenie odbędzie się w dniu 23 lipca. Statuy ustawione przy wejściu do sali sejmowej dłuta p. Trembeckiego przedstawiają się imponująco, szczególniej Kazimierza Wielkiego można zaliczyć do pierwszorzędnych dzieł sztuki rzeźbiarskiej u nas. Szlachetność oblicza rozumnego króla, głęboka myśl osiadła na jego czole, postawa majestatyczna, spokój połączony ze swobodą, przykuwają oko widza. Znać tu inteligencję i cywilizację zachodu, gdy przeciwnie dzielna postać Włodzimierza, z drugiej grupy, uwydatnia siłę i pewną surowość rycerza Wschodu, mającego w swych żyłach coś ze krwi Normandzkiej. Powinszować możemy p. Trembeckiemu tych postaci, tembardziej, że miał do czynienia z tak niewdzięcznym dla artysty materjałem, jakim jest gruby kamień pińczowski, z którego te posągi wyrobiono.

Na szczycie już zarysowuje się zdaleka postać Galicji, którą ustawiają pomocnicy p. Rigera. Zdaje się, że i za tę grupę nie powstydzi się artysta, choć dyletanci zarzucają niezgodność głównej figury z rzeczywistością. Galicja chyba kiedyś będzie takiej dobrej tuszy, jak jej reprezentantka dziś w kamieniu. Daj Boże, żeby się przepowiednia p. Rigera sprawdziła...

Z innych stron krajów naszych dochodzą nas tylko wieści o przyjmowaniach różnych dostojników, zwiedzających prowincje podległe ich rządom. W Królestwie przyjmują Albedyńskiego z zapałem, stawiają mu bramy tryumfalne, rzucają kwiaty, wznoszą toasty — niewiadomo za co. U nas tak samo stawiają bramy dla hrabiego Alfreda Potockiego, gdy przyjeżdża na folwark do nowokupionego majątku, księdzu Stojałowskiemu także postawili w Kulikowie aż dwie bramy i bili z dział kiedy powrócił z pielgrzymki do Rzymu, wreszcie nasze podole popisywało się z banderjami i kostiumowanemi bałami podczas bytności marszałka krajowego na wystawie w Ułaszkowcach.. Godne są pochwały wszelkie objawy czci i uznania, należące się ludziom prawdziwie zasłużonym dla kraju, — tylko zdaje się nam, że wszelka przesada ma w sobie trochę komizmu, który dla osób będących przedmiotem podobnych owacji bywa czasami żenującym. Miary więc trochę więcej w objawach takiej lojalności a zwłaszcza gdy idzie o takiego obcego jenerał-gubernatora. Jakoś Polacy w Kongresówce zaczynają chorować na krótką pamięć, a zagłuszeni na chwilę dobrobytem kraju, zbyt łatwo mażą swoje rachunki z wrogiem...

Obecne naukowe stanowisko hipnotyzmu.

I.

Nie można powiedzieć, aby przez długi szereg lat niedawno minionej pierwszej epoki „magnetyzmu zwierzęcego“, zjawiskami podciąganemi pod tę nazwę zajmowali się sami tylko oszuści lub naiwni. Jednakże takie było powszechne przekonanie. Rzeczywiste fakta obwinięte były w tak grubą osłonę błędów i szarlatańastwa, że oko powierzchownego badacza grzęzło w jej masie, a gdy nawet przypadkowo dotknęło jądra prawdziwego, nie było pewnem, czy nie ulega ułudzie...

Teraz. kiedy już znamy pewną liczbę zjawisk „magnetycznych“, których rzeczywistość nie ulega wątpliwości, przyznać musimy, iż są zdumiewające i niejako oderwane od całego świata zjawisk przyrodzonych.

Przenieśmy się wyobraźnią o kilka lat wstecz i przedstawmy sobie, że patrzymy na nie wyłącznie tylko w warunkach teatralnych, że je wywołują tylko wędrowni spekulanci, którym bynajmniej nie chodzi o odkrycie prawdy, o zbogacenie nauki, lecz o napchanie swej kieszeni; zostaliśmy więc przedewszystkiem uprzedzeni na ich niekorzyść — a ponieważ panowie wywoływacze nigdy nie bywają tak skromni, żeby samej tylko naturze działanie pozostawiali, więc nietylko że dostrzegamy rzeczy sztuką wywołane, ale nawet w najprawdziwszych faktach podejrzywamy zręczne prestidigatorskie udanie.

Dziś jeszcze, jak powiadają uczeni specjaliści, kontrola nad wielu zjawiskami tego rodzaju jest niemożliwą i kryterjum stanowić może tylko sumienność eksperymentatora, przed kilku zaś laty ani jednego zjawiska sprawdzającego nie znano.

Wobec pokazującego „magnetyzm“ za pieniądze ludzkość znajdowała się w takim stanie, jak człowiek patrzący na znakomitego aktora, który nagle wpadł w rozpacz, z powodu np. przeczytania listu o śmierci syna...

Objawy rozpaczy mogą być zupełnie naturalne, ale widz nie jest pewny czy są rzeczywiste, czy udane i dowiedzenie się o tem w zupełności zależy od prawdomówności aktora.

Gdy zaś rzecz jaka wyrobi sobie taką renomę, wtedy trudno zwalić uprzedzenia nawet człowiekowi najwiarogodniejszemu; nie mówiąc już o dyletantach zupełnie dobrej wiary, którzy zjawiska hipnotyczne wywoływać umieli, wspomnimy o lekarzu manchesterskim Braid'zie zapoznanym przez współczesnych, a w 40 lat potem za ojca naukowego badania zjawisk hipnotycznych uznanym.

Tak wszyscy lekceważyli tę sferę tajemniczą, że trzeba było tylko wyrazić chęć poważniejszego zajęcia się kwestją megnetyzmu, aby się najzupełniej ośmieszyć.

Ale się znaleźli ludzie odważni, którzy nie obawiali się śmieszności i zapuścili się w kraj nieznany dla sprawdzenia, czy jest rzeczywistością, czy też złudzeniem...

Zdaje nam się, iż pierwszym z nich był fizjolog Czermak. Powtórzył on opisane przez jezuitę Kirchera doświadczenie z magnetyzowaniem kur, i udało mu się ono w zupełności. Gdy położymy kurę na stole i przeciągniemy po grzbiecie i głowie kredą, a w dalszym ciągu kresę na stole wyrysujemy, kura wpada w dziwny stan osłupienia i kilka minut w nim pozostaje.

Potem podjął te doświadczenia fizjolog Prejer z równie pomyślnym skutkiem.

Wreszcie znakomity lekarz francuski Charcot postanowił sprawdzić to co „magnetyzerzy“ pokazywali na ludziach; z początku uczeni wzruszali na to ramionami, nie wierzyli jego sprawozdaniom, wysyłali komisje — i wreszcie cały świat naukowy uwierzył, iż to co wędrowni „magnetyzerzy“ pokazywali, było jednem z najbardziej zdumiewających, a może i najważniejszych zjawisk natury ludzkiej.

Gdy pierwsze lody zostały skruszone, puściło się na nieznany Ocean wielu innych badaczy, a imiona Bourneville'a i Regnarda, Heidenheina, Benedikt'a, Grütznera i wielu innych ściśle się połączyły z obecną fazą kwestji o „magnetyzmie zwierzęcym.“

Leży przed nami kilka numerów poważnego pisma lekarskiego francuskiego, które zawierają rozprawę p. t.: *Procédés employés pour déterminer les phénomènes d'hypnotisme. (Extrait du tome III de l'Iconographie photographique de la Salpêtrière). Par Bourneville et P. Regnard.* Znajdujemy tu opis postępowania i zjawisk wywoływanych w szpitalu Salpêtrière.

Pozwólmy mówić samym autorom, prawie wcale nie odbiegając od ich redakcji.

Należy naprzód wybrać przedmiot do hypnotyzacji: mało jest kobiet którychby nie można hypnotyzować, jest nawet pewna liczba mężczyzn, na których się to bardzo łatwo udaje. Lecz doświadczenie będzie prędsze i pewniejsze, gdy weźmiemy, histeryczkę. Z tych zaś należy przenieść nad inne młode, które są czulsze, wrażliwsze. Niektóre są zapalonemi czytelniczkami romansów, mają one charakter, któremu nie brak pewnej sentymentalności; należy je przenieść nad grubiańskie, lubieżne i sprośne.

I u tych ostatnich następuje sen hipnotyczny, ale daleko wolniej, a objawy są grube, uczucia dzikie: jakieś przesilenie histero-epileptyczne zwykle kończy doświadczenie.

Po zrobieniu wyboru usadza się chorą przed sobą i patrzy się jej w oczy. Wtedy, jak powiadają magnetyzerzy, trzeba mieć *chęć* uśpienia. Jest to zupełnie nieużyteczne, można myśleć o czemkolwiek, byleby tylko utrzymać wzrok stały i o ile można najmniej mrugać powieką. Wielkie palce subjektu trzyma się w swoich palcach, a to jedynie tylko dla lepszego ustalenia, bynajmniej zaś nie dla przepływu jakiegoś płynu. Pociąga-

nia (*passes)* są zupełnie bezużyteczne i tylko opóźniają nastąpienie snu.

Po dwóch lub trzech minutach tego stanu nieruchomego zauważymy, iż oczy subjekta czerwienią się, łzy zwilżają powieki i płyną po policzkach; trzeba dalej silnie patrzeć; często subjekt samowolnie zamyka oczy i pada w tył.

Jeśli ten skutek nie nastąpi samowolnie, puszcza się rękę subjekta, kładzie się wielkie palce na oczy, i zamyka górne powieki; wtedy sen następuje bezpośrednio, subjekt przechyla się w tył wydając westchnienia; czasami trochę piany występuje na wargi.

Samo nawet przyłożenie palców na gałki oczne może niekiedy wywołać hipnotyzm bez poprzedniego ustalenia wzroku; środek ten jest nawet wygodny, gdy się ma do czynienia z subjektami trochę niesfornemi, których wzrok trudno jest zatrzymać w spokoju przez czas dłuższy.

Można jeszcze z dobrym skutkiem skombinować dwie metody; można ustalić wzrok chorej, oparłszy jej wielkie palce na brwiach, a pozostałe palce położywszy na skronie: wynika ztąd pewien rodzaj nieprzyjemności *(malaise)*, który bardzo przyspiesza nastąpienie snu.

W niektórych przypadkach, naprzykład, gdy się chce uniknąć przyrównania do magnetyzera, gdy dla przekonania widza chce się usunąć wszelką możliwość tłumaczenia za pomocą *płynu*, postępuje się według metody następców Braid'a.

Każe się usiąść chorej na krześle i umieszcza się pomiędzy jej oczyma jakikolwiek przedmiot (ołówek, srebrne pióra kieszonkowe są do tego wyborne) i powiada się jej, aby patrzyła nań stale; w tych warunkach sen nadchodzi z takiemi samemi poprzedniemi objawami, jak dopiero co opisane.

Widzimy więc, że nic prostszego nad wywołanie hipnotyzmu, nic tajemniczego w postępowaniu, nic więcej jak rzeczy zwyczajne w skutkach.*)

To, cośmy dotąd powiedzieli, stosuje się do pierwszych prób, które wykonywamy na danym subjekcie; ale gdy już którą z chorych często się hipnotyzowało, osiąga się cel daleko prędzej i łatwiej; tu się właśnie zaczyna rola imaginacji i wdzięczne pole dla szarlatanów.

Sama myśl, że zostanie uśpioną, działa na chorą tak, że zasypia prawie nagle; jeśli oprócz tego wmówi się w nią, że „magnetyzer" ma wpływ tajemniczy, moc nadprzyrodzoną — zobaczycie dokąd to doprowadzić można!

Jedna z chorych w Salpêtrière, G., przekonana, że jeden z nas ma nad nią szczególną władzę, padała zhipnotyzowana wszędzie gdzie tylko go spotkała; widzieliśmy chorą, zasypiającą podczas chodu, na schodach.

Pewnego razu, gdy żartami wmówiono w nią, że zostanie nagle uśpioną *za pomocą woli* podczas ceremonji publicznej, która miała w kilka godzin później nastąpić, wolała nie pójść na tę ceremonję, do tego stopnia była przekonana, że wola swój skutek osiągnie.

*) To dowodzi, iż do wywoływania zjawisk hipnotycznych nie trzeba być ani prof. Charcot, ani cudotwórcą, lecz że mogą się udać każdemu, kto ma odpowiednią pacjentkę i pewną wprawę.

II.

W tych razach wszystko czyni imaginacja, wszystko się odbywa w subjekcie poddanym doświadczeniu!

Kilka przykładów wyjaśni tę sprawę.

Oto mamy chorą dobrze wyćwiczoną, która się szybko hipnotyzuje; dość jej wyciągnąć nagle rękę ponad jej głową, a upadnie jakby rażona piorunem.

Przytaczamy ten gest, albowiem łatwy jest do wykonania i bywa często zastosowywany przez cudotwórców; każdy człowiek osiągnie ten sam skutek.

Wmówiliśmy w chore, że nie będą mogły opuścić sali, w której się znajdują, gdyż zamagnetyzowaliśmy klamki drzwi; długo wahały się dotknąć ich, a gdy to uczyniły, wpadły w sen.

Czy potrzebujemy dodać, żeśmy bezwarunkowo niczego nie magnetyzowali?

Doświadczenie to ma wielką donosłość, albowiem wyjaśnia nam te przypadki, w których osoby zasypiają wypiwszy szklankę *wody magnetyzowanej*, a inni położywszy się pod *magnetyzowanem drzewem*.

Doświadczenia magnetyzacji z odległości należą do tego samego rzędu i pochodzą z tej samej przyczyny.

Ileż to razy czyta się w książkach magnetyzerów, że udało im się zamagnetyzować pewną osobę ze swego mieszkania przez bramę, przez znaczną przestrzeń — i w tym razie całość działania odbywa się w subjekcie.

Robiliśmy często doświadczenie następujące: powiedziano chorej R.: „w tym pokoju, obok znajduje się pan X., który cię magnetyzuje".

Chora patrzy wtedy z pewnym niepokojem i nagle zasypia.

Pewnego razu powiedziano chorej to samo i sen zupełnie tak samo prędko nadszedł; tymczasem wtedy nie byliśmy wcale obok w pokoju, ani nawet we Francji i wcaleśmy o niej nie myśleli.

Innego razu powiedzieliśmy chorej, że zamagnetyzujemy ją z naszego mieszkania o godzinie trzeciej popołudniu, w dziesięć minut potem zapomnieliśmy już o tym żarcie; nazajutrz przyszedłszy do szpitala, dowiedzieliśmy się, że chora o trzeciej godzinie zasnęła...

Niezmierna mnogość nonsensów zapełniających książki magnetyzerów da się wytłumaczyć w sposób następujący: imaginacja chorej była pod silnym wpływem i sen nastąpił samodzielnie, niezależnie od wszelkich manipulacyj zewnętrznych.

Wszystkie manipulacje, któreśmy wyżej opisali, wywołują sen hipnotyczny; prawdopodobną jest rzeczą, iż ten sam skutek można osiągnąć za pomocą wielu innych działań.

Dla zupełnego wyłączenia obecności człowieka, dla usunięcia wszelkiej idei płynu, dokonywaliśmy często doświadczeń przy pomocy prostych czynników fizycznych.

Wiadomo, że od czasu ukazania się książki O. Kirchera, iż zwierzęta, a szczególniej koguty, mogą być łatwo pogrążone w stan kataleptyczny przez proste unieruchomienie wzroku na przedmiot świecący; niektórzy przypuszczają nawet, że błyszczące w nocy oczy zwierząt rodzaju kota, służą im do zaczarowania, do uśpienia zdobyczy.

Podobne zjawisko łatwo powtórzyć na człowieku; umieszczając nasze chore przed stałym punktem świecącym, często je usypialiśmy; zobaczymy dalej, że stanowi to nawet najlepszy sposób sprowadzenia katalepsji.

Tu przystępują autorowie do opisania kilku doświadczeń czynionych podczas snu magnetycznego.

Dość jest, powiadają, lekko pobudzić mięśnie ręką, aby widzieć że się natychmiast kurczą.

Odsyłając czytelników do innych artykułów, kładę nacisk tylko na jeden punkt: hyperestezja mięśni jest tak rozwinięta podczas snu hipnotycznego, że przez proste dotknięcie można dokonać eksploracji mięśni tak delikatnej, jaką tylko robić można przy pomocy elektryzacji miejscowej.

Można nawet do tego stopnia stetanizować wszystkie mięśnie ciała, że chora najzupełniej sztywną się staje i może być zawieszoną pomiędzy dwoma krzesłami.

Podczas snu hipnotycznego można także wywołać pewien rodzaj poddania się osobnika hipnotyzowanego; w tym celu wystarcza silne schwytanie go za dwie ręce i nagłe odstąpienie.

W większości przypadków hipnotyzowany idzie za nietrzymającym go już hipnotyzerem tak daleko jak on postąpi, a zmysły jego są do tego stopnia podniecone, że unika wszelkich przeszkód, strzeże się potrącenia o cośkolwiek i silnie odpycha osoby, które wejdą pomiędzy niego a hipnotyzera.

Drugi rozdział poświęcili autorowie *katalepsji*.

Może ona być wywołaną u histeryczek wielu sposobami; najprostszy polega na bezpośrednim przeprowadzeniu hipnotyzowanej ze snu hipnotycznego w stan kataleptyczny.

Zasypiając chora miała oczy zamknięte; dla wywołania katalepsji dość jest otworzyć jej powieki palcem wielkim wskazującym, pociągając je do góry.

Pacjentka natychmiast okazuje objawy charakterystyczne, po które odsyłają autorowie do swych prac poprzednich, a których na nieszczęście w tej chwili nie posiadamy.

Musimy poprzestać tylko na sposobach wywoływania tego stanu.

Często widzieli autorowie, iż chore wpadały w stan kataleptyczny bez żadnej widocznej przyczyny; wpatrywanie się zaś w pukt świecący wywoływało zawsze też same objawy.

Według ich przypuszczenia, fakirowie wschodni wpadają często w stan hipnotyczny, w skutek pogrążenia się w kontemplacji punktu świecącego, gwiazdy lub księżyca.

Autorom łatwo było osiągnąć ten sam rezultat.

Umieściwszy swe pacjentki przed bardzo jasnem światłem tlenowodornem, spostrzegli, że prawie natychmiast wpadają w ekstazę; przeciwnie, gdy ognisko błyszczące nagle zgaśnie, powracają zawsze do snu hipnotycznego.

Doświadczenie to można powtórzyć nieskończoną liczbę razy.

Dość jest otworzyć oczy chorej, aby katalepsja powróciła, dość jest je zamknąć, aby znowu znikła; zauważyli nawet, że dość jest otworzyć jedno oko dla otrzymania półkatalepsji i półhipnotyzmu.

U ludów wschodnich katalepsja wywoływa-

na bywa przez dźwięk monotonny często powtarzany.

Łatwo to stwierdzić; jeśli na skrzyni umieścimy wielki kamerton i posadziwszy na niej pacjentkę wprawimy go w ruch, to dźwięk monotonny natychmiast ją skataleptyzuje; gdy kamerton drgać przestanie znika natychmiast katalepsja i powraca sen hipnotyczny.

Nie trzeba jednak sądzić, aby dźwięk lub światło musiały trwać długo; przeciwnie, nagłe uderzenie w tamtam (dzwon chiński) eksplozja bawełny strzelniczej, zapalonej iskrą elektryczną, odrazu sprowadzają katalepsję.

Doświadczenie to udaje się dobrze tylko na subjektach przywykłych do hipnotyzmu; przyzwyczajenie pozwala daleko łatwiej rozwinąć newroze.

Pewnego razu, jedna z chorych G..., bawiąc się tamtamem znajdującym się w laboratorjum, upuściła go na podłogę i wpadła w katalepsję; asystent zauważywszy, że ucichło w pokoju, wszedł zobaczyć co się dzieje i znalazł ją nieruchomą i śpiącą.

Innym razem chora R., słuchająca muzyki wojskowej, uległa katalepsji w chwili, gdy nagle oderzono w trąby wśród melodji bardzo łagodnej.

W stanie kataleptycznym oprócz rozmaitych poz, oprócz poddawania myśli chorej, można jeszcze wywołać pewne objawy, którym magnetyzerowie nadają nazwę *oczarowania*.

Patrząc stale na chorą eksperymentator każe jej spoglądać na końce swych palców, a potem usuwa się zwolna; wtedy chora idzie za nim ale nie spuszczając wzroku z jego oczu: schyla się, gdy on się schyli, i szarpie gwałtownie dla znalezienia jego wzroku, gdy się od niej odwróci.

Jeśli się żywo ku niej postąpi upada w tył wyprostowana i sztywna; doświadczenie to należy robić z wielką ostrożnością; chora nic nie czyni dla uniknięcia uderzenia i padnie wprost na czaszkę, jeśli jej kto nie podtrzyma.

W tym stanie *oczarowania* hipnotyzowana należy w zupełności do *czarownika* i odpycha gwałtownie osoby, które chcą stanąć pomiędzy nim a nią, chyba że te osoby zaczną wykonywać odpowiednie czynności, i, jak mówią specjaliści, przyjmą wzrok subjekta za pomocą swych oczów i rozpoczną czarowanie na własny rachunek.

Dla skończenia tego tematu musimy powiedzieć kilku słów o manipulacjach, z których jedna pozwala otrzymać *halucynacje wywołane*, a druga, wyzyskiwana przez magnetyzerów, nie ma żadnego związku z hipnotyzmem.

Dla wywołania halucynacyj, trzeba użyć osoby młodej i od dłuższego czasu poddawanej hipnotyzmowi.

Wprowadza ją się w stan katalepsji, i, za pomocą wzroku wprawia w stan „oczarowania".

Następnie symuluje się rozmaite czynności, np. udaje się, że się chce schwytać ptaka.

Chora natychmiast zaczyna robić to samo; goni ptaka i spełnia szereg czynności automatycznych odnoszących się do aktu, który jej eksperymentator podsunął.

Halucynacje te można urozmaicać do nieskończoności: naprzykład robi się miny i gesta mające oznaczać obawę węża u nóg się wijącego; takiż sam strach opanowuje wtedy chorą.

Doświadczenia te można zmieniać nieskończenie, stosownie do woli.

Wielce też ciekawem jest doświadczenie następujące.

Jeżeli osobę hipnotyzowaną oprzemy o mur ręką w ten sposób, aby ciało było ku murowi pochylone i opierało się zupełnie na ręce, to zobaczymy, że osoba ta zostanie jakby przylutowaną do muru i nie może się od niego odddalić.

Jest to rzecz bardzo prosta i łatwo było znaleźć jej tłómaczenie.

Jeśli kto stanie w tej pozie, to przekona się, że nie będzie mógł się usunąć, nie zgjąwszy ręki, i nie odrzuciwszy się od muru elastycznością swych mięśni, dla odzyskania równowagi.

Lecz dlaczegoż tego nie czyni hipnotyzowana?

Jedynie dla tego, że w tej chwili ramię jej jest skataleptyzowane, pozbawione możności ruchu.

Można się o tem przekonać odciągając chorą od muru: ramię jej będzie wyprężone i dużo siły trzeba użyć, aby je przyprowadzić do stanu wiszącego.

Jest tu przypadek stężenia odruchowego *(contracture reflexe)*, o tyle mało zależnego od hipnotyzmu, o ile w stanie normalnym można coś podobnego wywołać, i dość jest wyciągnąć silnie ramię prawie każdej histeryczki, aby je w stan stężenia wprowadzić.

Bronisław Reichman.

„PAN TADEUSZ" SŁOWACKIEGO.

NOTATKA.

Wśród mistrzów sztuki w ogóle, poetów zwłaszcza, nieraz się zdarzali i coraz są częstsi tacy, co niekoniecznie, nie zawsze „sztuce dla sztuki" hołdują. Owszem, twórczość swoją, imaginacji nieprzebrane skarby, władanie formą — słowem wszystko, co geniusz albo talent w dziedzinie sztuki stanowi — oddają chętnie na posługę idei jakiejś, związują nierozerwalnie dzieje swej twórczości z pewnemi momentami dziejów społecznych albo i człowieczeństwa całego.

Są to już nie jedynie posągi piękna w pamięci ludzkiej skamieniałe, są to nie tylko kolosy, które przez ciąg wieków w panteonie sztuki podziwiane będą — majestatyczne, ogromem wysoko nad poziom powszedniego wystrzelające życia, lecz właśnie zimne tem swojem od życia oderwaniem, wielkie niby dla tego jedynie, że swoją piękną martwotą zdala od wirów życia się dźwignęły, że życie ludzkości poziome pod nimi lub koło nich przebiegło, ani unosząc ich na swoich falach, ani druzgocząc i łamiąc w huraganach i burzach, jakiemi nieraz zawrzało...

Owi mistrze nie hołdujący „sztuce dla sztuki" bynajmniej nie są tacy, wielkość ich inna zupełnie, zasługi wobec człowieczeństwa ogromniejsze chyba.

Estetycy rozmiłowani w zmysłowej form piękności, lekko nieraz potrącą ich dzieła, nie wywołujące nigdy erotycznego uśmiechu, bo ich realizm nawet jest boleścią zarazem, tem może większą, im większa tego realizmu objektywność... Z owego zaś erotycznego uśmiechu, tak często rodzącego się przed dziełami „czystej" sztuki, zawsze coś dostrzedz można w najestetyczniejszym z najestetyczniejszych zachwytów, zawsze powtarzamy, skoro tylko nie jest on niczem więcej, jak „najestetyczniejszym..." Wielkim i „czystym" platonizm krytyków estetycznych być może, wielkie być może w ich obozie o tym platonizmie gadanie... ale bądź co bądź estetyczność w istocie swojej niejest czem innem, jak zmysłów, jak zmysłowej łechtanie wyobraźni i czasem tem antinaturalniejsze, im łatwiej się objawia na widok marmurowej Wenus, a obrzydliwe prawie, skoro się w takim razie za coś wznioślejszego okrzyku-je, jak wrażliwość na przejawy życiowego piękna...

Nie tu rzecz wyłuszczać, czemu u nas sąd estetyków nie wiele waży, czemuśmy dla „czystej" sztuki tak zimni, jak zimną jest ona dla nas; powiemy tu tylko tyle, że wzgardliwe potrącanie przez estetyków sztuki z życia wyrosłej i w bratni, pełny sedecznego ciepła uścisk z życiem powiązanej, nie jest bynajmniej tej sztuki potępieniem, jeno świadectwem, że pieluchy estetyczności mózgom ich rozwinąć się nie dały, kiedy tymczasem wszystko inne wokół nich w życiu społecznem rozrastało się potężnie, wyolbrzymiało niepospolicie...

Mniejsza więc na dzisiaj o nich i o ich sądy mniejsza!

Im bardziej potępiającym będzie estetycznej krytyki wyrok, tem szczerszem być musi naszych sympatyj wylanie dla tych mistrzów, co oprócz fidjaszowo pięknych rzeźb ducha, dają w nich ludzkości coś żywego jeszcze, coś niezmartwiałego przy porodzie zaraz...

Duch ich nie zastyga jak lawa, aby trwać skamienieniem swojem tylko, nie chowa się tak głęboko, aby z niego tyle tylko widzieć można, *ile krwi* dostrzeżesz w twarzy, nie kłamią mu myśli, ani *język myślom* jego *kłamie* — nie chce on być formą jedynie, skoro jest treścią, skoro jest życiem, a formą o tyle tylko, o ile życie bez formy się nie objawia, o ile piękno życia zawsze w pięknej nosi się szacie, o ile do ideału się wspina.

Przeniewiercy ci „czystemu" pięknu — zdrajcy „czystej" sztuki, wlewają w *swoją sztukę* ducha, który wedle dosadnych słów Słowackiego jest *wiecznym rewolucjonistą*.

Nie tylko dla nas zresztą, owszem dla bardzo wielu i coraz to bardziej z chwilą każdą, mistrze tego polotu więcej są sympatyczni, niż opatentowane raz na zawsze wielkości, albo lepiej: monopolizujące dla siebie wielkość dotąd, dokąd odrywanie się od życia, a więc od pracy społecznej, stwarzającej dzieje, dokąd to odrywanie się egoistyczne, mianem największej, bo społecznej niemoralności napiętnowane nie będzie.

Wielkość owych sympatycznych dla nas duchów w dziedzinie sztuki, nigdy z podobnym nie spotka się zarzutem, chociaż dziś jest mniej powszechnie uznawaną i będzie krótkotrwalszą może, przynajmniej krótkotrwalszą w pewnej formie. Nie mogą one długo świecić swoją indywidualną wielkością, poczęte z życia, w życie się przelewają, przeradzają się w siłę społeczną i tem tylko żyją — stają się elementem życia społeczeństw i w tem przeistoczeniu zatracają indywidualność swoją — stwarzają one, że tak powiemy, wielkość nie dla siebie, a płodzą wielkie momenta w duchach mniejszych, podlejszych od siebie.

Sztuka w tych żywych przedstawicielach swoich staje się świadomą swej potęgi, przestaje

imponować martwym piękna ogromem, a żyć poczyna, chce swoje samowładcze panowanie jak najwięcej rozszerzyć; nie korzy przed sobą śmiertelników gromady, ale w naistotniejszą ich cząstkę się przeistacza, cząstkę żywotnie twórczą i tą inkarnacją swoją upięknia ich, umoralnia i uspołecznia.

A co także wysoce jest sympatycznem i wzniosłem w tem sztuki o potędze swojej przeświadczeniu, to niewątpliwie to, że i kapłanów swoich uszlachetnia ona ogromnie, bo z ich własną świadomością lub bez niej, gasi w nich egoistyczność; nie wskazuje im za cel wciskanie się w barwne, ale ślimaczo-zamknięte skorupy, pod których ochroną jak najdłuższeby sobie trwanie w wiekach zapewnić mogli, jeno każe im rozdawać swego ducha na wieczerzy pańskiej społeczeństw, neguje w nich najpierwotniejszą własności postać, bo własność „jaźni" ich osobistej i robi z niej zasób wspolny ludzi, ludów i ludzkości. Ta socjalizacja kapitałów duchowych w okręgach umysłowości jest wielkim zwrotem dziejowym do uspołecznienia stosunków ludzkich nietylko w psychicznym świecie, ale i w innych zakresach...

Tak wyszlachetnieni tylko i uspołecznieni mogą wzniośle, porwani rozumieniem przeznaczeń swoich w społeczeństwie, marzyć, że *zginą cząstką w trudów arcydziele*, że *skonają zwrotką w poświęcenia hymnie*. Im to wolno jedynie po każdej wyśpiewanej pieśni, wykrzyknąć: *zgińcie me pieśni, wstańcie czyny moje,* bo pieśni ich, to nie form pięknych powiązanie harmonijne i błyskotliwe, nie estetyczna tylko igraszka, ale czyn w pewnej dziejowych czynów grupie, ale moment w rozwoju społecznego życia, a przejaw historycznego piękna.

Cudownie człowieczeństwu w djamentowym djademie utworów „czystej" sztuki, ale nie więcej, albo mniej nawet, bo ozdobnie tylko, gdyż życie jego, mimo najczarniejsze doby, mimo chwile wstrętne czasem, zawsze jest samo przez się pięknem i bynajmniej nie tyle tylko pięknem, ile w niem „estetyki". Życie ludzkości bez owego djademenntu mniej zbytkownemby było, mniej sztucznie estetycznem, ale nicby na naturalnem, odwiecznem swojem nie straciło pięknie i zyskałoby na moralności może, bo do dziś jeszcze zbytek i marnotrawstwo w dziedzinach ducha, to krzywda pokoleniom i wiekom wyrządzona. Dziś jeszcze, kiedy ledwo maluczka cząsteczka umysłów pracuje normalnie, a reszta spi i marnieje, bo jej nie wolno umysłu skrzydeł rozwinąć, dziś jeszcze tedy jedna umysłowa siła nieprodukcyjnie zużyta i zmarnowana — to prawie na lat dziesiątki postępowego biegu ludzkości wstrzymanie, to oddalenie momentu, w którym cała ludzkość, cała w ogromnej masie swojej, porwie się do umysłowego lotu i wówczas już niewątpiwie nie do metafizycznie kołującego, a skierowanego ku celom pewnym, szybującego ku ogólnemu uszczęśliwieniu, a więc socjalnie produkcyjnego tylko...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

— *Argus.* Kartki satyryczno humorystyczne zebrał Alfabet. 4to, str. 18. Wilno 1881. 45 ct.

— *Bałucki Michał.* Typy i obrazki krakowskie. 8-ka, str. 262. Wilno 1881. 2 złr.

— *Benoni K. i Tatomir L.* Krótki rys geografji dla użytku szkolnego, z 12-ma rycinami. 8-ka, str. 112. Lwów 1881. 56 ct.

— *Chmielowski Piotr dr.* Zarys literatury polskiej z ostatnich lat szesnatu. 8-ka, str. 217. Wilno 1881. 2 złr. 25 ct.

— *D'Abankourt* Fran. Ksawery. Era konstytucyjna Austro-węgierskiej monarchji od 1848 do 1881. r. omówiona z uwzględnieniem walki autonomistów z centralistami. 8ka, str. 340. Kraków 1881. 2 złr. 80 ct.

— *Falkowski Julian.* Upadek powstania polskiego w 1831 roku. Rys historyczno pamiętnikowy z mapą teatru wojny i planem szańców Warszawy przez żołnierza z owych czasów. 8-ka, str. 372. Poznań 1881. 4 złr. 50 ct.

— *Jankowski Edmund.* Wady naszych sadów. 8-ka str. 36. Wilno 1881 45 ct.

— *Kubala L. dr.* Szkice historyczne serja I. Wydanie drugie, 8-ka, str. 332. Lwów 1881. 3 złr. 40 ct.

— *Lorkiewicz Antoni.* Bunt Gdański w roku 1525 przyczynek do historji reformacji, w Polsce. 8-ka, str. 192. Lwów 1881. 1 złr. 80 ct.

— *Morawski ks. Marjan.* Filozofja i jej zadanie. Wydanie drugie uzupełnione, 8-ka, str. 425. Lwów 1881. 3 złr.

— *Prawdomowski Br.* Nikt nie zagrzebie ducha wolności — chyba on sam siebie. 8-ka str. 135. Lwów 1881. 1 złr.

Sewer. Bratnie dusze. Powieść. 8 ka. str. 258. Lwów 1881. 2 złr.

— *Stadnicki Kazimierz.* Synowie Gedymina. Wielko-władcy Litwy. Mondwid-Narymunt. — Jawnuta — Koriat. Wydanie nowe przerobione i powiększone, nakładem Ignacego Stadnickiego. 8-ka, str. 272. Lwów 1881. 2 złr. 80 ct.

— *Stanowisko* języka niemieckiego w galicyjskich szkołach średnich. 8-ka, str. 35. Lwów 1881. 30 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

*** B. redaktor *Przyrody i przemysłu* a szanowny i zasłużony profesor b. szkoły głównej Warszawskiej w tych słowach pod dniem 28. czerwca donosił jednemu ze znajomych o upadku swego czasopisma:

Szanowny panie!

Z żalem donoszę panu, że *Przyroda* z dniem 1. lipca kończy swój żywot cichy, dzięki obojętności ogólnej.

Przyniosła dotąd wydawcom dotkliwe straty, a na lepsze czasy się nie zanosi...

Czy zostanie kiedyś jeszcze wskrzeszoną i w jaki sposób? nie wiem, ale na dziś mamy już dosyć!

Zresztą Salamoński ma zamiar jeszcze wypędzić kilka amazonek, a potrzebujemy przecież wyposażyć te biedactwa, jak wyposażyliśmy pannę Jenny...

W obec tak ważnych potrzeb narodowych, o wspieraniu piśmiennictwa krajowego mowy być nie może.

Życzliwy przyjaciel i sługa.
K. Jurkiewicz.«

*** W ostatnim zeszycie *Revue philosophique* Ribota. Dr. Juljan Ochorowicz rzuca projekt „kongresu psychologów", któryby wykazał postępy, jakie w ostatnich czasach uczyniła psychologja.

Kongres według projektu dra O., winienby ustalić nomenklaturę dla zjawisk psychologicznych i ustanowić naukową dyscyplinę dla badania tych zjawisk.

Plan dra O. przyjęto, jak również zaproponowany przezeń podział na sekcje.

Myśl ta wkrótce podobno w czyn wprowadzoną będzie.

*** Kraszewski udał się w tych dniach na czterotygodniowy pobyt do Wildbad. Stan zdrowia czcigodnego jubilata jest pomyślny. Mistrz powieści naszej czuje się niezwykle rzeźkim i silnym.

*** Bezdzietny baron Adolf Rotschild, brat obydwóch szefów frankfurckiego domu bankowego, oddaje po swej śmierci swoje zbiory przedmiotów sztuki i starożytności dla muzeum w Luwrze: oprócz tego na koszta zachowania i administracji ofiarodawca przekazał milion franków.

Społeczne i ekonomiczne.

*** Wyroki śmierci.

Prawdziwych przyjaciół ludzkości ucieszy rezultat ogłoszonej przez *Howard Association* statystyki, stwierdzającej, że liczba spełnianych wyroków śmierci stale się zmniejsza.

Przez ciąg lat dziesięciu, t. j. od 1870 do 1879 włącznie, skazano na śmierć w Austrji 608 osób, a tylko na 16 wyrok był wykonany.

We Francji z 198 skazanych stracono 93, w Hiszpanji z 291 — 126, w Szwecji i Norwegji z 46 — 6, w Danji z 94 — 1, w Bawarji z 249 — 7, a w północnych Niemczech z 484 — tylko 1.

W Stanach Zjednoczonych w tymże przeciągu czasu skazano na śmierć 2500 osób, a stracono 200.

W Anglji i Walji w czasie lat 30, t. j. pomiędzy 1850 i 1879 r. skazano na śmierć 665, a stracono 372.

W Irlandji w ciągu lat dwudziestu skazano na śmierć 66 osób, a 36 stracono, podczas gdy w Szkocji, w takimże czasie stracono 15 z 40 skazanych.

W Holandji zniesiono w roku 1870 karę śmierci i od tego czasu spełniono tam 17 morderstw, podczas gdy w poprzednich dziesięciu latach skonstatowano ich 19.

Faktycznie kara śmierci nie istnieje też w Portugalji, Rumunji i Belgji, oraz w kilku stanach amerykańskich.

Trzeba jednak pamiętać, iż w Ameryce istnieje sąd doraźny.

*** „Ciekawy zabytek z r. 1547 znaleziono pod Török St. Miklosz na Węgrzech. Jest to część działa bronzowego z rzeźbą, przedstawiającą zamek z dwiema wieżami w polu herbowem. Między wieżami wyobrażony jest archanioł z podniesionym nad głową mieczem. Poniżej herbu znajduje się wyryty w bronzie napis czeski w czterech wierszach i wymieniona powyżej data. Cały ten ułamek działa waży około 60 funtów.

*** W Atenach przy rozkopywaniu szczątków teatru Epidauros znaleziono posąg Hygiey, córki Asklepiosa, wprawdzie bez głowy, ale z świetnie wykonaną draperją i sandałami; według twierdzenia znawców posąg ten ma być dłuta Polykleta z Vgo wieku przed Chrystusem.

Z Drukarni „Gazety Narodowej"   Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.